
NOWA HUTA

Stary Kraków * Kombinat i miasto * Budowy bez maszyn * Nadzór inspektorski na C1 * Awans na C3 * Kurz i błoto

W czasie, gdy finiszowałem swe studia, na świecie „zimna wojna” zataczała coraz szersze kręgi i zdominowała makropolitykę wielkich mocarstw. W połowie 1951 r. nastąpiła w Korei stabilizacja frontu na 38. równoleżniku, ale trwały gigantyczne naloty superfortec amerykańskich na miasta Północnej Korei. Dopiero w listopadzie zawarta została między walczącymi stronami umowa o linii demarkacyjnej oraz wstrzymaniu działań wojennych i rozpoczęły się długotrwałe rokowania pokojowe.

Trwała wojna w Wietnamie, gdzie Francja zamierzała odtworzyć przedwojenny stan kolonialnego uzależnienia. Także i ten teatr wojenny traktowano jako zmagania dwóch przeciwstawnych ideologii kapitalizmu i komunizmu, ale faktycznie była to klasyczna wojna narodowo-wyzwoleńcza o niezależnienie się od obcej dominacji. Podgrzewaniu zimnej wojny służyła też próba pierwszej bomby wodorowej, dokonana przez USA w maju i jednostronne podpisanie traktatu pokojowego z Japonią przez państwa zachodnie. Z drugiej strony zaostrzała się walka z odchyleniami nacjonalistycznymi oraz wszelką działalnością opozycyjną w krajach, będących w orbicie wpływów Związku Radzieckiego, w szczególności w Polsce, Bułgarii, NRD i na Węgrzech.

Nasilanie się zimnej wojny na świecie miało swój wpływ na kształt Planu 6-letniego Uprzemysłowienia i Rozwoju Polski, uchwalonego przez Sejm w lipcu 1950 roku. Przede wszystkim znacznie zwiększone zostały wskaźniki rozbudowy przemysłu ciężkiego w stosunku do propozycji z 1949 r. Równocześnie wprowadzono do Planu realizację całego szeregu zakładów zbrojeniowych, w tym budowy na radzieckiej licencji czołgów i odrzutowych samolotów MIG-15.

To posiedzenie sejmowe, wielokrotnie pokazywane w kronikach filmowych, były bardzo spektakularne. Mianowicie na frontowej ścianie w sali obrad plenarnych Sejmu zawieszona została mapa-makieta Polski. Zapalały się na niej kolorowe lampki, pokazujące dziesiątki zaplanowanych nowych, wielkich inwestycji przemysłowych. Kojarzyły mi się one potem przez wiele lat z nazwami miast i miasteczek, w których zostały zlokalizowane: Wierzbica – wielka cementownia, Wizów – fabryka kwasu siarkowego, Tarchomin – penicylina, Fasty i Zambrow – przemysł bawełniany, Kędzierzyn – zakłady azotowe, Swidnik - samoloty, Jelcz – autobusy, Skawina – huta aluminium, Porąbka – zapora i elektrownia wodna oraz wiele, wiele innych. Zaś największą inwestycją 6-latką miał być kombinat metalurgiczny o wydajności 1,5 miliona ton stali rocznie, zlokalizowany na wschód od Krakowa oraz budowa towarzyszącego mu 100-tysięcznego miasta Nowa Huta.

Kombinat zaprojektowany został w ZSRR. Częściowo, w fazie dokumentacji technicznej, do prac projektowych włączyło się Biuro Projektowe Przemysłu Stalowego „Biprostal”, specjalnie utworzone wtedy w Krakowie. Wstępne roboty związane z budową kombinatu rozpoczęto pod koniec 1949 roku.

Natomiast opracowanie projektu generalnego miasta Nowa Huta powierzono w 1948 inż. T. Ptaszyckiemu z Wrocławia. Po otrzymaniu zlecenia przeniósł się wpierw na kilka miesięcy do Warszawy, następnie na stałe do Krakowa, gdzie zorganizował Przedsiębiorstwo Projektowania Budownictwa Miejskiego „Miastoprojekt-Kraków”.

Oczywiście biuro to powstawało etapowo. Pierwsze pracownie projektowe, ulokowane w różnych punktach Krakowa, zajmowały się przez pierwszych kilka lat działalnością głównie opracowywaniem dokumentacji projektowej dla budowanego od podstaw

miasta Nowa Huta. W perspektywie lat biuro rozrosło się i objęło zasięgiem swego działania cały region południowej Polski. W 1953 r. otrzymało własny, nowy biurowiec przy ul. Kraszewskiego w Krakowie.

Realizacja pierwszych bloków mieszkalnych w Nowej Hucie rozpoczęła się w dniu 28 czerwca 1949 roku. Od tego czasu Wrocław zaczął na wielką skalę zaopatrywać w cegłę rozbiórkową nie tylko Warszawę, ale również Nową Hutę. Te dostawy trwały około 5 lat i posłużyły do budowy kilku wielkich osiedli mieszkaniowych w tym mieście.

Po ukończeniu studiów architektonicznych znaczna część absolwentów zasilala powstające w dużych miastach biura projektowe. Zawód projektanta jest bowiem najbardziej adekwatnym zajęciem dla architektów. Ale już w początkach lat pięćdziesiątych zgłaszane były postulaty, aby pracę na stanowisku projektanta poprzedzała 2-3 letnia praktyka, odbyta bezpośrednio na budowie. Faktycznie po kilku latach taka praktyka, obok egzaminów z zakresu prawa budowlanego oraz bezpieczeństwa i higieny pracy, stała się podstawowym wymogiem do uzyskania uprawnień projektowych.

Ja, po otrzymaniu dyplomu, również miałem przekonanie, że przed zaangażowaniem się do biura projektowego wskazane byłoby, abym popracował wprawdzie ze dwa lata wprost na budowie. Myślałem też, że w tym celu dobrze byłoby pojechać do Nowej Huty, tego największego, obok Warszawy, placu budowy w Polsce.

Oczywiście tylko na okres tych dwóch lat praktyki, by potem wrócić już na stałe do swego ukochanego Wrocławia.

Obowiązywały wówczas jednakże tak zwane skierowania do pracy, udzielane przez uczelnie świeżo „upieczonym” absolwentom, według zapotrzebowań, zgłaszanych przez przedsiębiorstwa i instytucje. Powiedziałem więc w dziekanacie, że zamierzam jechać do Nowej Huty i poprosiłem o przyzwolenie na poszukanie pracy we własnym zakresie. Prof. T. Wróbel wyraził swą zgodę, stwierdzając, iż wyda formalny nakaz pracy, skoro tylko sam określe przedsiębiorstwo, w którym się zatrudnię. Ale ja bynajmniej nie pojechałem od razu do Krakowa.

Nasza spółdzielnia studencka „Arkady” zaoferowała mi kilkumiesięczną, dobrze płatną pracę w jednostce wojskowej, stacjonującej w Karłowicach we Wrocławiu. Mia-nowicie zleciła ona opracowanie dużej ilości plansz graficznych potrzebnych do wyposażenia kilku sal, urządzonych dla celów dydaktycznych. Pracę przyjąłem i wykonywa-łem ją wraz z kilku innymi kolegami, również świeżymi absolwentami. W szczególności wykonywaliśmy powiększenia wskazanych nam rysunków i zdjęć z książek, lub nowe rysunki różnego sprzętu i modeli, najczęściej kolorowe, przy zastosowaniu farb akwa-relowych. Były to głównie widoki, przekroje i schematy obsługi broni, sprzętu, maszyn i wszelakiego wyposażenia wojskowego. Wykonaliśmy kilkadziesiąt takich plansz, a ponadto różne napisy i kilka makiet plastycznych dla szkolenia taktycznego.

Stołowaliśmy się na miejscu w kuchni wojskowej, gdzie posiłki były bardzo obfite i gdzie często serwowano grochówkę, za którą przepadałem. Pracowaliśmy wszyscy bardzo wydajnie. Ostatecznie prace w jednostce wojskowej w Karłowicach we Wrocławiu zakończyliśmy dopiero w połowie lutego 1952 r. Otrzymałem niezłe wynagrodzenie, przy czym część zarobionych pieniędzy ulokowałem niezwłocznie na swej książeczce oszczędnościowej PKO.

Święta grudniowe 1951 r. spędziłem oczywiście u rodziców w Kępnie. Dopiero w ostatnich dniach lutego 1952 r. udałem się na rekonesans do Krakowa. Zatrzymałem się w hotelu komunalnym naprzeciwko głównego dworca kolejowego. Nie znałem w Krakowie właściwie nikogo oprócz inż. Ptaszyckiego, o którym wiedziałem tylko tyle, że kieruje biurem projektującym Nową Hutę. Odszukanie tegoż biura nie było jednak zbyt skomplikowane, choć usytuowane było w kilku miejscach, ale za to blisko siebie, między

innymi w Rynku Głównym i przy ul. Karmelickiej. Mieściło się prowizorycznie w podnajmowanych mieszkaniach. Po wyluszczeniu przeze mnie celu przyjazdu do Krakowa, dyr. Ptaszycki pochwalił mą decyzję przyjazdu do Krakowa i doradził mi podjęcie pracy w Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta.

Wpierw postanowiłem jednak zwiedzić dawny gród królewski, przeznaczając na to prawie cały pierwszy dzień pobytu. Kraków sprawił na mnie wrażenie absolutnej odmienności od ówczesnego Wrocławia. Przede wszystkim miasto było całe, najwyraźniej walec wojny nie wyrządził mu poważniejszych szkód. Stało się to za sprawą oryginalnego manewru oskrzydającego i wejścia 18.I.1945 r. 1 frontu ukraińskiego marszałka Koniewa do Krakowa od strony zachodniej. Przy czym w walkach w mieście brała udział tylko rosyjska piechota, bez udziału artylerii i czołgów, jedynie przy niewielkim wsparciu samolotów szturmowych. Chodziło oczywiście o to, aby zaoszczędzić miastu zniszczeń. Ta dbałość o zabytki Krakowa spowodowała jednakże duże straty wśród nacierających piechurów. Dziś, po 50. latach, ich zbiorowe mogiły i pomnik przy Barbakanie bezczeszczone są farbą, zaś manifestujący przeciwko historycznym, kamiennym sarkofagom głoszą swe maniackalne przekonania, że pijani żołnierze sami strzelali do siebie, że w grobach pochowane są szczątki końskie, lub tym podobne brednie.

Tymczasem wszelkie większe linie obronne zbudowane przez Niemców, usytuowane były od strony wschodniej. Mieli oni autentyczne zamiary bronić miasta, ogłaszając je wcześniej jako „Festung Krakau”. Ale faktycznie to załoga niemiecka skwapliwie skorzystała z pozostawionej jej przez Koniewa drogi odwrotu w kierunku Skawiny i Wadowic oraz rozsądnie i szybko wycofała się bez poważniejszych walk.

Niemcy wysadzili za sobą jedynie stalowy, kratownicowy most Dębnicki na Wiśle, a zamierzali również wysadzić w powietrze Wawel. Był on ponoć zaminowany, ale w zniszczeniu tej bezcennej historycznej budowli przeszkadzili podobno Polacy, rozbrajając ładunki wybuchowe i wskazując miejsca minowania czerwoarmistom. Na ten temat istnieje dziś cały szereg różnych legend i opowieści.

W stosunku do rozległego Wrocławia Kraków był obszarowo względnie małym miastem. Liczył wprawdzie już ok. 350 tysięcy mieszkańców (w 1945 r. - 250 tys.), ale skupionych w zwartej zabudowie kilku dzielnic śródmiejskich. Bez większej straty czasu można było poruszać się po mieście na piechotę, co też potem często praktykowałem.

Kraków różnił się od zniszczonego Wrocławia oczywiście mnogością sklepów, warsztatów rzemieślniczych i różnego rodzaju obiektów gastronomicznych. Szokującą dla mnie, Wrocławia, była wielka ilość kawiarni, zgrupowanych zwłaszcza w rejonie Starego Miasta. Wreszcie Kraków różnił się zdecydowanie od stolicy Dolnego Śląska swymi mieszkańcami. Wrocław zaludniała wtedy ruchliwa młodzież z setek wsi i miasteczek całej Polski. Zaś w Krakowie dominowali mieszkańcy w podeszłym wieku, stateczni mieszcianie, pamiętający czasy długowiecznego cesarza Franciszka Józefa I.

Stąd obie społeczności prezentowały zupełnie inną mentalność. Wrocławia otwarci, wylewni, patrzący i pracy do przodu. Krakowianie konserwatywni, nostalgiczni, żyjący raczej odległą przeszłością. Mnie uderzała ponadto tytułomania, jaką uprawiali, choćby przy kawiarnianych stolikach, gdzie gęsto było od słów: „mecenas, radca, magister, profesor” itp.

Budowa nowego kombinatu metalurgicznego zlokalizowana została 12 kilometrów na wschód od Centrum Krakowa, budowa miasta Nowa Huta bliżej o 4 kilometry. Z Krakowem łączyły te place budów lokalna linia kolejowa i ulica Bieńczycka. Wybudowana przed wojną prywatna jednotorowa linia kolejowa prowadziła od dworca głównego wzdłuż ulic Bieńczyckiej i Kocmyrzowskiej do miejscowości Kocmyrzów na północ od kombinatu. Wykorzystana została dla celów komunikacyjno-transportowych budowy

Nowej Huty do momentu uruchomienia połączenia tramwajowego z Krakowem.

Droga Bieńczycka wcześniej gruntowa, została już poszerzona i otrzymała nawierzchnię brukową, w budowie znajdowała się druga jezdnia i torowiska tramwajowe. Cała arteria komunikacyjna, jaka miała połączyć nowe satelitarne miasto z Krakowem, stanowiła bardzo poważne przedsięwzięcie inżynieryjne. Wymagało ono budowy mostu na rzece Białusze i wiaduktów kolejowych, wyburzeń istniejącej zabudowy, znacznych robót niwelacyjnych oraz rozbiórki kompleksu dużego poaustrijskiego fortu w rejonie Czyżyn. Cegła z rozbiórki kazamatów i bastionów tego fortu wykorzystywana była na budowach Nowej Huty.

Jazda pociągiem trwała bardzo długo. Wysiadłem w Grębałowie i następnie udałem się w kierunku Kopca Wandy. Po lewej stronie miałem cały czas wgląd na rozległą panoramę budowy kombinatu. Plac budowy obejmował 2-3 kilometry kwadratowe płaskiego terenu i sprawiał imponujące wrażenie. Wiele obiektów, wewnątrzzakładowych dróg i linii kolejowych, a nawet całych kompleksów budynków były już gotowe. Zaawansowana też była budowa wielkiej elektrowni i cementowni. Na budowach pracowały tysiące ludzi, setki wozów konnych i samochodów oraz raczej niewiele maszyn, głównie koparek. Cały ten teren dotychczas zajmowany był przez pola uprawne, nie było na nim żadnej istniejącej zabudowy, ani większych zespołów drzew. W oddali widniało miasteczko prowizorycznych baraków na tle wsi Pleszów, jakie postawiono dla zakwaterowania robotników budowlanych.

Z historycznego kopca kurhanu, usypanego na cześć Wandy, co „nie chciała Niemca” - przeszedłem do wsi Mogiła i osiedli mieszkaniowych Nowej Huty. Mogiła w 1952 r. była niewielką wsią z kilkudziesięciu domami w większości zbudowanych z bali drewnianych pomalowanych wapnem na niebiesko i krytymi słomianą strzechą. Od innych wsi wyróżniała się przede wszystkim swą historią, sięgającą pradawnych czasów i klasztorem zakonu Cystersów z początków XIII wieku. Opactwo to wielokrotnie na przestrzeni wieków rozbudowywane, jest faktycznie bardzo ciekawym obiektem, ale zwiedziłem je dopiero kilka lat później.

Również miasto Nowa Huta stanowiło wielki plac budowy. Gotowe były już osiedle A-0 i znaczna część osiedla A-1, zamieszkałe przez kilkanaście tysięcy mieszkańców. Prawie całe osiedle A-0 zabudowane było podobnymi 2-4-kondygnacyjnymi budynkami, mającymi strome czterospadowe dachy, kryte dachówką ceramiczną. Jak się później dowiedziałem, realizowano je w oparciu o powtarzalną dokumentację projektową, wzorowaną na projektach przedwojennego, spółdzielczego Zakładu Osiedli Robotniczych (w skrócie „ZOR”), działającego na osiedlu Żoliborz w Warszawie.

Takie budynki typu „ZOR” budowano zresztą wówczas masowo w całej Polsce. W ten sposób kontynuowano w szerokiej skali najlepsze przedwojenne doświadczenia w budowie spółdzielczych mieszkań pracowniczych. Wszystkie mieszkania posiadały przedpokój, wydzieloną kuchnię, łazienkę i 1-3 pokoje mieszkalne. Wyposażane były od razu w instalacje wodno-kanalizacyjne i elektryczne, zaś po pewnym czasie, po podłączeniu do krakowskiej gazowni, również w instalacje gazowe. Te pierwsze budynki w Nowej Hucie nie posiadały jednakże centralnego ogrzewania, które dopiero później stało się normą w budownictwie osiedlowym.

Generalnie biorąc, to przyjęte od zarania Polski Ludowej standardy w masowym, państwowym budownictwie mieszkaniowym stanowiły wyraźny jakościowy skok w stosunku do stanu przedwojennego budownictwa. Oczywiście do pozostawionych przez wojnę ruin żadnych porównań przeprowadzić się nie da.

Podobnie, jak w przypadku kombinatu, miasto budowano na płaskim terenie, wykorzystywanym dotychczas na pola uprawne. Nie kluczyłem zbyt daleko po nowobudowanych ulicach, lecz skierowałem się od razu na osiedle C-1, gdzie miała znajdować się Dyrek-

cja Budowy Miasta Nowa Huta. Osiedle C-1 było głównym placem budowy. Gotowe były tylko dwa budynki w środku osiedla. Realizowane jako mieszkalne, zaadaptowane zostały w trakcie robót wykończeniowych na biurowce. W jednym została zlokalizowana Dyrekcja Budowy, w drugim, większym, biura Przedsiębiorstwa Budownictwa Miejskiego „Zetbeem”, będącego głównym wykonawcą robót w mieście.

Zgłosiłem się do sekretariatu DBMNH, złożyłem swe pisemne podanie o przyjęcie do pracy i zostałem przyjęty na dłuższą rozmowę przez kierownika Wydziału Nadzoru Inwestycyjnego. Usłyszałem od niego, że raczej nie będzie żadnych problemów z zaangażowaniem mnie na stanowisku inspektora nadzoru. Otrzymałem następnie ankietę personalną do wypełnienia i propozycję przyjazdu w dniu 15. marca, celem sfinalizowania formalności, związanych z zatrudnieniem i dla podjęcia pracy w przedsiębiorstwie.

Wróciłem więc najbliższą ciuchnią do Krakowa, powąłęsałem się wieczorem w okolicach Rynku Głównego i nazajutrz pojechałem z powrotem do Wrocławia. Tam w ciągu kilku dni spakowałem się i opróżniłem swój sublokatorski pokój na Zalesiu. Część rzeczy, zwłaszcza książki, przeniosłem do siostry na przechowanie, natomiast najpotrzebniejsze zmieściłem w dwóch walizkach.

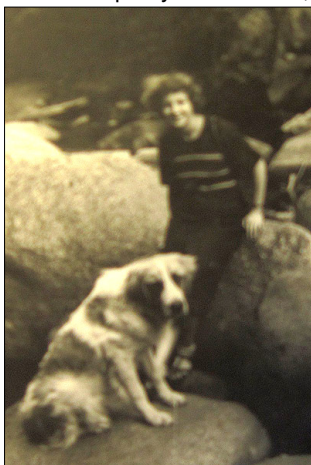
Po czym na kilka dni pojechałem z pewnym konkretnym zamiarem do Katowic. Postanowiłem mianowicie odszukać i odwiedzić swą sympatię z Monasterzysk sprzed 11 lat, Mirkę K. Wiedziałem o niej jedynie tyle, że wraz z matką przeniosła się ze Stanisławowa gdzieś na Górny Śląsk. Wszędzie w miastach istniały wówczas biura Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Urząd ten sprawował bardzo ważną funkcję pośredniczenia w powojennych przemieszczeniach i wzajemnym poszukiwaniu się Polaków. W Katowicach nie natrafiłem jednakże na ślad poszukiwanej, ale otrzymałem zestaw adresów PUR w miastach Górnego Śląska.

Po dwóch dniach wędrówki tramwajami po Śląsku i pukaniu do kolejnych biur PUR i urzędów meldunkowych, uzyskałem wreszcie właściwą informację. Przy okazji odświeżyłem swą przedwojenną znajomość Śląska. Oczywiście domy, ulice wydawały mi się jakby mniejsze i bardziej szare. Zwłaszcza te moje Łagiewniki, Lipiny, Chropaczów i Świętochłowice. Wszystko bez śladów jakichkolwiek zniszczeń wojennych.

Cały istniejący przemysł, zwłaszcza huty i kopalnie węgla kamiennego pracowały na pełnych obrotach, na trzy szychty, z maksymalną wydajnością. Bez najmniejszej przesady Górny Śląsk w tamtych czasach był kuźnią, w której wykuwano przemysłowy kształt nowej Polski. Na pewno dziś cała Polska winna w jakiś sposób pomóc Śląskowi w obecnej reformowanej rzeczywistości, by spłacić choć część tego „długu pracy”, zaciągniętego wówczas w tym regionie.

Jedynie Gliwice były w poważniejszym stopniu zniszczone na skutek działań wojennych. W tym dużym mieście mieszkała właśnie Mirka K. Udałem się pod uzyskany adres na peryferiach miasta. Otworzyła mi starsza pani, którą od razu rozpoznałem jako matkę Mirki. Dłuższą chwilę rozmawialiśmy i wspominaliśmy minione zdarzenia z pierwszych lat wojny oraz losy bliskich i znajomych, nim Mirka wróciła do domu.

Oczywiście 21-letnia panna nie przypominała 10-letniego dziewczątka. Było miło i sympatycznie, pospacerowaliśmy po niedalekiej okolicy i popowiadaliśmy sobie o swych przeżyciach i problemach. Uczyła się w konserwatorium muzycznym gry na fortepianie i marzyła o ewentualnej karierze pianistki. Matka pracowała w swym zawodzie jako nauczycielka. Po po-



Mirka K. w Gliwicach

południowej herbatce, z ładunkiem serdecznych pozdrowień dla moich rodziców i siostry - pojechałem do swego hotelu w Katowicach. Nazajutrz byłem znów w Krakowie.

W sobotę 15 marca 1952 r., zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, zgłosiłem się rano do Dyrekcji Budowy Miasta Nowa Huta. Po niedługim oczekiwaniu sekretarka p. J. Guzińska poprowadziła mnie do naczelnego dyrektora instytucji. Był nim od ponad 1,5 roku przedwojenny działacz lewicowy inż. St. Zralek. Zapytał mnie o moje wykształcenie, warunki rodzinne i zainteresowania, a sam poinformował krótko o organizacji biura. Zaraz potem sekretarka zaprowadziła mnie do naczelnego inżyniera E. Mikosia. Był to przedwojenny przedsiębiorca budowlany. Po krótkiej z nim rozmowie, sekretarka, która cały czas mi towarzyszyła, przekazała mnie głównemu inspektorowi inż. Urbańskiemu w Wydziale Nadzoru Inwestycyjnego. Tam właśnie miałem pracować, zgodnie ze swym życzeniem, jako młodszy inspektor nadzoru. Zostałem więc poinformowany o zakresie swych obowiązków, zapoznałem się z niektórymi przyszłymi kolegami i otrzymałem swój „kął” z biurkiem w pokoju inspektorów.

W międzyczasie przygotowany został dla mnie kwaterek w hotelu robotniczym, jakim dysponowała Dyrekcja. Był to świeżo ukończony wielorodzinny budynek mieszkalny na sąsiednim, budującym się osiedlu C-2. Zamieszkałem tam w jednym pokoju, wspólnie z innym inspektorem nadzoru, z którym potem przez wiele lat się przyjaźniłem.

Odniosłem wrażenie, że kierownictwo przedsiębiorstwa było wyraźnie zainteresowane moim przyjęciem do pracy. Podobnie jak kilku innych świeżych absolwentów wyższych uczelni. Był to okres, gdy do zakładów pracy całej Polski zaczęła napływać pierwsza duża fala inżynierów i magistrów, wykształconych już po wojnie. Przy czym przedwojennych pracowników z wyższym wykształceniem było jak na lekarstwo.

Wręcz mi angażu i przydziału na nowe, tymczasowe mieszkanie, sekretarka poinformowała mnie, że jeśli mam ochotę, to mogę przyjść po południu do świetlicy biura na imprezę rozrywkową, organizowaną z okazji minionego w poprzednim tygodniu święta Dnia Kobiet.

Oczywiście, że miałem ochotę i poszedłem, acz z małym spóźnieniem. Salka była pełna. Na estradzie prezentowali się wyłącznie pracownicy Dyrekcji, gdyż spektakl w całości zorganizowany został własnymi siłami. Główny inspektor śpiewał i grał świetnie na gitarze, dwóch przebiegaczy wystąpiło w kilku skeczach z komicznymi dialogami, były recytacje wierszy i była też harmonia i rosyjskie czastuszki ze swojskimi kupletami. Najokazalej prezentował się dziewczęcy kwartet taneczny, który zresztą widziałem później kilka razy na estradach nowohuckich przy okazji różnych okolicznościowych imprez. Bardzo mi się te występy podobały, jak również serdeczna, jakby rodzinna atmosfera, panująca na sali, salwy śmiechu, huczne brawa.

Wieczorem zabrałem swe walizy z hotelu „Polonia”, w którym przez dwa dni zamieszkiwałem i przeprowadziłem się do Nowej Huty.

DBMNH powołana została do celu pełnienia wszelkich funkcji inwestorskich, związanych z budową nowego 100-tysięcznego miasta Nowej Huty. Struktura organizacyjna przedsiębiorstwa była więc adekwatna do ogólnych czynności inwestorskich.

Dział Planowania i Umów określał roczne plany inwestycyjne i zawierał umowy z przedsiębiorstwami wykonawczymi na realizację poszczególnych przedsięwzięć. Dział Prawno-Wyłączeniowy prowadził wszystkie sprawy związane z zakupem i przejmowaniem terenu pod planowane inwestycje. Dział Dokumentacji Technicznej zlecał do biur projektowych opracowanie dokumentacji technicznej, zawierał na nią stosowne umowy, sprawdzał i przyjmował oraz przekazywał wykonawcom do realizacji. Dział Kosztorysowy przygotowywał analizy cen jednostkowych i weryfikował kosztorysy, opracowane w biurach projektowych. Dział Uzbrojenia Terenu zajmował się programo-

waniem, etapowaniem i nadzorowaniem realizacji dróg, linii tramwajowych, zieleni oraz uzbrojenia terenu we wszelkie instalacje sanitarne i energetyczne. Natomiast inspektorzy Działu Nadzoru Inwestycyjnego, przypisani do poszczególnych budów, odpowiadali za ich realizację, zgodnie z dokumentacją techniczną i sztuką budowlaną; przeprowadzali częściowe i końcowe odbiory robót oraz rozliczali je, sprawdzając książki obmiaru robót. Dział Finansowo-Księgowy finansował całość budowy Nowej Huty, jak również działalność samej instytucji.



Osiedle C-1 (Teatralne) w budowie.

lował natomiast nieomal wyłącznie człowiek ze swymi manualnymi umiejętnościami. Np. cegły i pustaki przemieszczano przy pomocy taczek i drewnianych nosilek na plecach pomocników murarskich. Dopiero po kilku miesiącach pokazały się pierwsze, różnej długości, przenośniki taśmowe, które znacznie usprawniły przemieszczanie materiałów w poziomie, a nawet zmyślnie poustawiane, podawały cegły, pustaki, beton i zaprawę do wysokości II piętra. Transport pionowy na wyższe kondygnacje odbywał się przy zastosowaniu drewnianych, kratownicowych dźwigów szybowych, zwanych „warszawskimi”. Były one charakterystyczne przez wiele lat dla większości budów w całym kraju.

Prawie wszystkie stropy w budynkach mieszkalnych do rozpiętości 6 metrów wykonywane były jako żelbetowe, gęstożebrowe typu DMS. Składały się one z gotowych prefabrykowanych beleczek żelbetowych, pomiędzy które wstawiało się duże gruzobetonowe, lub żuzłobetonowe pustaki, poczym całość zalewało betonem. Stropy te nie wymagały pełnych szalunków i już po kilku dniach od momentu betonowania można było je obciążać.

Wszystkie pozostałe elementy konstrukcyjne, to jest fundamenty, słupy, podciągi, balkony, klatki schodowe wykonywane były jako żelbetowe w technologii monolitycznej.

Do 1951 r. na niższych budynkach stosowano strome, czterospadowe dachy o drewnianych więźbach, krytych dachówką. Po 1952 r. prawie całkowicie zaniechano używania drewna w konstrukcjach budowlanych. Obowiązywały w tej mierze rygorystyczne przepisy. Praktycznie drewno stosowano jedynie do robót szalunkowych, lecz było ono pośledniego gatunku i używane wielokrotnie. Zaowocowało to w perspektywie 20-30 lat odbudową drzewostanu w lasach, bardzo w czasie wojny przetrzebionych.

Podstawowym obowiązkiem inspektora nadzoru budowlanego było kontrolowanie na bieżąco robót na powierzonych jego opiece budowlach. Oczywiście najważniejsza była jakość robót konstrukcyjnych, w tym prawidłowe wykonanie zbrojenia i właściwa technologia wykonania wszelkich elementów żelbetowych, gdyż w tym zakresie najłatwiej było o pomyłki i niedopatrzania.

Starannie więc sprawdzałem, czy ilość, średnice i sposób wygięcia prętów stalowych w elementach żelbetowych są zgodne z projektem technicznym. Do sprawdzania średnicy żelastwa używałem początkowo skrupulatnie suwmiarki (noniusza). Lecz ry-

chło nauczyłem się z odległości kilku metrów bezbłędnie odczytywać na oko te średnice. Wygrywałem nawet zakłady w tej dyscyplinie. Stwierdziłem też szybko, że niektórzy projektanci przyjmowali zbrojenie bardzo oszczędnie na granicy dopuszczalnej w obliczeniach statycznych. Inni pod tym względem byli bardziej rozrzutni. Na wyrwyki sprawdzałem obliczenia i jednych i drugich. Lecz wkrótce, w ogóle, od pierwszego wejrzenia, orientowałem się, że dane zbrojenie jest właściwe, lub, że coś trzeba poprawić.

Podobnie dużą wagę przywiązywałem do technologii betonowania. Chodziło tu, między innymi, o odpowiednie zabezpieczenia w przypadku występowania mrozu, opadów, lub dużych upałów. Ważną rzeczą było stosowanie ciągłego betonowania dużych elementów w granicach dylatacji. Stąd betonowanie np. stropów i podciągów odbywało się bez przerw, również nocami, przy oświetleniu stanowisk roboczych reflektorami na trójnogach. Wielokrotnie zdarzały mi się takie kilkudziesięciogodzinne maratony betonarskie.

Wszelkie ściany i mury nośne w okresie do około 1954 r. wykonywało się prawie wyłącznie przy użyciu cegły ceramicznej, przeważnie rozbiórkowej, pochodzącej z Wrocławia. Takie mury w budynkach 5-kondygnacyjnych, jakie nadzorowałem, miały 38, 51, a często nawet 64 cm grubości. Pożerały one olbrzymie ilości cegieł oraz wymagały wielkich rzesz murarzy. Szybko więc powstały różne zespołowe metody murowania, jakie polegały na przydzielaniu doświadczonego murarzem po kilku przyuczonych pomocników. Najbardziej rozpowszechnionym systemem murarskim w Nowej Hucie był system trójkowy. Jeden pomocnik łopatą nakładał zaprawę na murze, drugi podawał na mur cegły, zaś sam murarz przycinał i układał te cegły do pionu i poziomu, stosując odpowiednie wiązania. Oczywiście jeszcze inni pomocnicy dostarczali cegły przenośnikami bezpośrednio na stanowiska robocze i przygotowywali zaprawę wapienno-cementową w mieszkarkach.

Z dniem 1 kwietnia przeniesiony zostałem do hotelu dla pracowników inżynierskich na osiedlu Grzegórzki w Krakowie. Były tam znacznie lepsze warunki zakwaterowania, niż w poprzednim hotelu robotniczym na oś. C-2, zaadaptowanym tylko z budynku mieszkalnego. Przede wszystkim miałem do dyspozycji własny, gustownie umeblowany pokój. Pomieszczenia hotelowe były sprzątane, pościel wymieniana, a wejście do budynku strzeżone przez portiera. Tyle, że nie było żadnych pomieszczeń gastronomicznych czy świetlicowych na miejscu.

Hotel znajdował się w środku nowobudowanego sporego osiedla na kilka tysięcy mieszkańców w rejonie ulicy I. Daszyńskiego. Jest ono zlokalizowane właściwie w centrum Krakowa, ale duże połacie terenu w tym miejscu nie były zabudowane w związku z podmokłym gruntem i kilkoma stawami. Inwestor państwowy szybko z tym sobie poradził, likwidując stawy i obniżając poziom wód gruntowych.

Miałem teraz jednak do pokonania dłuższą drogę do pracy. Codziennie rano musiałem piechotą maszerować na określoną godzinę do Ronda Mogińskiego, odległego ok. kilometra od mego hotelu. Tam czekał stary autobus zakładowy, który przewoził do Nowej Huty wszystkich pracowników Dyrekcji, zamieszkałych w Krakowie. Podróż koleją trwałaby bardzo długo, zaś innej publicznej komunikacji do NH jeszcze nie było.

Ten autobus można by z powodzeniem nazwać „wesołym autobusem”. Jadący na ogół mieli doskonałe humory, specjalnie wyróżniał się w tym względzie mój starszy kolega po fachu W. Florek. Jego perlisty śmiech i opowiadane kawały rozweselały cały autobus.

W hotelu na Grzegórkach zamieszkiwałem ponad rok. Oczywiście wszelkie koszty zakwaterowania, jak również dowozu do pracy opłacało za mnie przedsiębiorstwo.

Przez wiele miesięcy miałem wówczas problemy ze zorientowaniem się w topogra-

fii Krakowa. Gdy wybierałem się na jakąś nieznaną mi ulicę, to najpierw udawałem się na Rynek Główny. Tam dopiero orientowałem się w którym kierunku muszę iść. Inna rzecz, że Rynek był wówczas centralnym węzłem komunikacji tramwajowej miasta. Tramwaj przejeżdżał nawet pod Bramą Floriańską. Oczywiście wozy tramwajowe były mniejsze od obecnych i jeździły w pojedynkę

Te linie tramwajowe w Ryнку Głównym zlikwidowano jednakże już w grudniu 1952 r., realizując w ten sposób jeszcze przedwojenne postulaty o ochronie zabytków śródmiejskich przed szkodliwymi drganiami gruntu i hałasem.

Przez pewien czas miałem też niewytłumaczalną amnezję do nazwy osiedla Grzegórzki, które myliłem z „Gżegżótkami”.

Na Święta Wielkanocne pojechałem, jak zwykle, do rodziców do Kępna, natomiast w drugie święto nietypowo do Wrocławia. Chciałem zabrać ze sobą skierowanie do pracy w Nowej Hucie, przygotowane już wcześniej przez uczelnię.

Miał je mój kolega przed świętami odebrać z dziekanatu i dostarczyć mej siostrze. Z jakichś powodów tego nie uczynił i postawił mnie w trudnej sytuacji, gdyż upływał termin, w jakim zobowiązałem się to skierowanie dostarczyć do działu kadr w tym biurze. Zdecydowałem więc zatrzymać się we wtorek poświęcony we Wrocławiu, odebrać samemu ten nieszczęsny papierek, natomiast stracony dzień pracy odrobić później wg uzgodnienia ze swym przełożonym.

Po świętach poszedłem więc do pracy dopiero w środę. Nie przeczuwałem co mnie czeka. A czekała sekretarka, która kazała mi się natychmiast stawić przed oblicze naczelnego. Dyr. Zralek, podpierając twarz lewą ręką, patrzył we mnie swym świdrującym wzrokiem i zapytał, odczekawszy chwilę, dlaczego poprzedniego dnia nie byłem w pracy. Odpowiedziałem najbardziej szczerze o swym dylemacie wrocławskim i że chętnie odpracuję na dodatkowych zmianach ten stracony dzień roboczy.

Usłyszałem wtedy od naczelnego, że, po pierwsze, miał z tego powodu osobiste przykrości, gdyż musiał złożyć swym zwierzchnikom pisemne zestawienie nieobecnych w pracy w ten dzień poświęcony. Po drugie, że nie przyjmuje mego mętnego tłumaczenia do wiadomości. I po trzecie, że począwszy od następnego tygodnia otrzymam obniżoną grupę zaszeregowania i niższy dodatek funkcyjny.

Faktycznie, mam do dziś tę zmianę warunków płacy. Z drugiej grupy spadłem do grupy III, otrzymałem też mniejszy dodatek funkcyjny i obniżony współczynnik premiowy z 1,0 na 0,9. W ten sposób me zarobki zmalały z dnia na dzień z ok. 1200 do poniżej 1000 złotych. Nic się tym nie przejmowałem. Nikomu też wówczas o tej swej przygodzie nie mówiłem i pracowałem tak, jakby nic się nie zdarzyło. Bynajmniej też nie miałem żadnej pretensji do swego pryncypała. Chyba na jego miejscu postąpiłbym tak samo.

Na marginesie powiem tylko, że dyscyplina pracy, jaką wówczas stosowano i starano się bezskutecznie wdrożyć w umysły i nawyki obywateli, ma się tak do dziś uprawianych stosunków pracy, jak dyscyplina w wojsku do zabawy podwórkowej małaolatów. Mnie ta dyscyplina odpowiadała, bywało, że przez lata nie miałem żadnych nieobecności, nigdy się nie spóźniałem do pracy, zaś obowiązki swe wykonywałem terminowo, choćby pracując w nadgodzinach i w niedziele.

W dniu 21 kwietnia wysłano mnie do Warszawy na 9-dniowy kurs szkoleniowy, zorganizowany przez Ministerstwo Budownictwa Miast i Osiedli. Kurs był inspirowany i prowadzony bezpośrednio przez, funkcjonujący w ramach ministerstwa, Centralny Zarząd Budowy Miast i Osiedli „ZOR”. Należały do niego wszystkie problemy związane z programowaniem, projektowaniem i nadzorem inwestycyjnym odbudowy miast i budowy nowych osiedli. W jakimś sensie nawiązywał on do tradycji przedwojennego Zakładu Osiedli Robotniczych, jaki prowadził budowę osiedla Żoliborz w Warszawie. Tyle, że

przedwojenny ZOR zajmował się jednym osiedlem, a powojenny ZOR setkami osiedli i miast całej Polski.

Głównym celem kursu było zapoznanie uczestników, przedstawicieli służb inwestycyjnych z dużych ośrodków miejskich, z problematyką projektową, normatywnymi projektowania i przepisami prawa budowlanego. Dla mnie kurs był bardzo cennym pogłębieniem i uporządkowaniem znanych mi już w większości wiadomości ze studiów i niemałej już praktyki projektowej. Kurs zakończył się egzaminami przed komisją, której przewodniczył znany architekt A. Ciborowski, późniejszy główny autor planu odbudowy, zniszczonego przez trzęsienie ziemi, miasta Skopje w Jugosławii.

Warszawa w 1952 r. tętniła bogatym życiem, odbudowa i budowa nowych ulic i osiedli prowadzona była nadal z dużym rozmachem. Po mieście jeździły już samochody osobowe „Warszawa” produkowane w nowej fabryce na Żeraniu w oparciu o licencję radzieckiej „Pobiedy”. Odgruzowywano i niwelowano hektary terenu pod budowę Pałacu Kultury i Nauki, na realizację którego właśnie podpisana została umowa z ZSRR. Porobiłem różne zakupy dla siebie w nowym przeszklonym Centralnym Domu Towarowym przy ul. Barskiej. Byłem też na górnym piętrze na nocnym koncercie muzyki jazzowej, która wówczas stawała w Polsce swe pierwsze kroczki.

Moje bloki mieszkalne na osiedlu C-1 rosły jak na drożdżach. Co tydzień-dwa przybywało na nich po pięterku i nadzorowałem już wkrótce także roboty wykończeniowe. Do robót, jakie szczególnie trzeba było wówczas kontrolować można zaliczyć osadzanie drzwi i okien, pionowanie ścianek działowych oraz wykonywanie parkietów i lastryka. Żeby osadzić stabilnie stolarszczyznę okien i drzwi należało w ościeżach otworów umocować wcześniej trapezowe klocki drewniane impregnowane grzybobójczo. Murarze nagminnie o tym zapominali. Musiałem więc ciągle tych klocków pilnować.

Parkiety stosowano we wszystkich pokojach mieszkalnych. Do epoki PCW czy innych tworzyw sztucznych było jeszcze daleko i te parkiety dawano chyba z konieczności, mimo ich bardzo wysokiej ceny. Lecz posadzki te wymagają przesuszonego podłoża, równej wylewki i odpowiedniego układania i klinowania pod listwami przyściennymi. Z tym były zawsze problemy.

Natomiast lastryko stosowano z reguły wszędzie tam, gdzie nie dawano parkietów, a więc w łazienkach, kuchniach, na balkonach, schodach i podestach. Posadzka ta, znana już starożytnym Rzymianom, wykonywana była w tych pięćdziesiątych latach także sposobami rzymskimi. Mianowicie jej szlifowanie dokonywane było przez lastrykarszy na kolanach przy użyciu ręcznych szlifierek. Robota iście dla niewolników. Ponieważ polscy robotnicy za takich się nie uważali, więc raczej wykonywali ją gorzej, niż ich koledzy po fachu dwa tysiące lat temu.

Po kilku miesiącach moje bloki kolejno przejmowały komisje odbiorcze i prawie natychmiast były one zasiedlane. Kilka budynków przeznaczono na hotele robotnicze dla zatrudnionych w kombinacie. Śpieszono się z tym tak bardzo, że rezygnowano z wcześniejszego wykonywania tynków elewacyjnych. Faktycznie roboty elewacyjne na całym, dużym osiedlu C-1 wykonane zostały dopiero po około sześciu latach.

Mnie zaś coraz więcej angażowały roboty wykończeniowe w kilkunastu różnych sklepach na parterach ostatnich dwóch budynków. Wkrótce jednakże nadzór nad tymi domami i sklepami przekazałem kolegom. Sam otrzymałem pod swoją pieczęć dwa pierwsze obiekty niemieszkalne na nowym osiedlu C-3. Były to: budynek dla Komendy Dzielnicowej Straży Pożarnej z garażami na 10 wozów bojowych i duży biurowiec, gdzie później ulokował się Urząd Dzielnicowy Nowej Huty.

W tym mniej więcej czasie zaangażowany został na kilka tygodni w Inspektoracie

Nadzoru DBMNH na stanowisku pomocnika nadzoru murarz nowohucki Piotr Ożański. Był on rekordzistą murarskim, znanym w całym kraju. Ale wówczas miał prawą dłoń zabandażowaną i rękę na temblaku. Mianowicie w czasie murarki na jakiejś podkrakowskiej wsi, ktoś podłożył mu rozpaloną cegłę. Chwyając ją sparzył sobie poważnie dłoń i nie mógł pracować w swym zawodzie przez wiele miesięcy.

W powstałym dwadzieścia kilka lat później filmie „Człowiek z marmuru” Piotrek został przez reżysera A. Wajdę przyjęty jako pierwowzór głównego bohatera filmu. Kreował go aktor krakowski J. Radziwiłowicz.

Zwykle w takich sytuacjach reżyserzy starają się w sposób możliwie wierny odtwarzać sylwetkę bohatera, otoczenie, przedstawiane zdarzenie i fakty. Na przykład aktor grający Józefa Piłsudskiego zawsze ma sumiaste wąsy i siwy strój strzelca legionowego. Lecz Wajda posłużył się własną, zmyśloną wizją swych postaci i akcji filmowych.

Radziwiłowicz w filmie był więc dokładnym przeciwieństwem Ożańskiego, który był niski, krępy, silny, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z dłońmi jak łopaty. Swe chłopskie pochodzenie miał wypisane na swej twarzy, w sylwetce i ruchach. Wprawdzie Radziwiłowicz starał się grać głupka, ale Piotrek był właśnie bystry, inteligentny, ufny i sympatyczny, choć niewiele mówił. Podobnie rekwizyty i statyści filmowi: mury wznoszonego domu, windy „warszawskie”, robotnicy nowohuccy, wszystko jakby z innego świata. Szkoda, że A. Wajda nie skorzystał z usług i doradztwa żyjących przecież bezpośrednich budowniczych Nowej Huty i nie wysilił się na poznanie samego P. Ożańskiego. W ten sposób kawałek historii polskiej przekazał młodemu pokoleniu w sposób przekłamany, niezgodny ze współczesną rzeczywistością i ludźmi.

Oba obiekty, które zacząłem nadzorować na osiedlu C-3 były o wiele bardziej skomplikowane od budynków mieszkalnych osiedla C-1. Dokumentację projektową otrzymywałem z Miastoprojektu fragmentami, sukcesywnie w trakcie budowy. W związku z tym moja rola przy nadzorowaniu tych obu obiektów poważnie wzrosła. Musiałem bowiem dbać o terminowe dostarczenie brygadam roboczym właściciwych rysunków, zaś wcześniej sprawdzić je i skoordynować. Dodatkowo w przypadku budynku strażnicy często brakowało rysunków zbrojarskich dla pomniejszych elementów konstrukcyjnych. Rezygnowałem zwykle z monitów u projektanta i sam szybko rysowałem odpowiednie szkice i dyspozycje zbrojarzom i cieślom.



Kier. Hayto, ja, mistrz Śliwa, Włodarczyk

nia niemowę, niesprawnego umysłowo. Człowiek ten znany wszystkim tylko z imienia, był nadzwyczaj przydatny. Wykonywał bowiem wszelkie, często brudne i niewdzięczne prace porządkowe, jakich zwykle wiele na dużej budowie. Wystarczyło, że kierownik wskazał Mietkowi ręką co ma robić, a ten krzątał się od świtu do ciemnego wieczora, zamiatał, segregował cegły, zbierał deski, zabezpieczał cement, odwoził gruz taczkami, mył okna. Pilnował też całej budowy, bo spał i mieszkał w baraku kierownictwa. Przez

Obie te budowy, usytuowane obok siebie, realizowane były przez jedno kierownictwo budowy. Świetnie mi się współpracowało i zaprzyjaźniłem się z tym kierownictwem i brygadziastami.

Kierownik Hayto, energiczny, przedwojenny budowlaniec, doskonale dawał sobie radę z ludźmi. Potrafił zachęcić pracowników do dodatkowego wysiłku, nagrodzić za dobrą robotę, lub zbesztać za partactwo.

O tym, że świetnie radził sobie w bardzo trudnej roli kierownika budowy, świadczyć może choćby taki nietypowy fakt, że zatrudnił człowieka

wszystkich traktowany był z szacunkiem i uznaniem za swą pracę. On sam czuł się potrzebny, za swym kierownikiem zapewne skoczyłby w ogień.

Zaś majster Śliwa wiedział, jak dobrze wykonać każdą robotę. Starszy wiekiem i doświadczeniem tłumaczył cierpliwie robotnikom, co i jak mają robić i często sam pokazywał, jak lepiej wykonać daną robotę. Ja także sporo się od niego nauczyłem.



Cieśle i ja przy szalunkach

sprawdzanie i ewidencja kosztorysów i wszelkiej dokumentacji projektowej.

Ja wtopiłem się w ten kolektyw kierowniczy i uzupełniałem go. Kierownik Hayto nienawidził jakichkolwiek prac papierkowych, więc ja pomagałem jego zastępcy, zwłaszcza w prowadzeniu ksiąg obmiaru, które równocześnie sprawdzałem i podpisywałem. Kierownika bezpośrednio zastępowałem przy redakcji różnych protokołów, w prowadzeniu dziennika budowy, opracowywaniu harmonogramów robót itp. Majstrowi i brygadziom wyjaśniałem i interpretowałem rysunki projektowe. Brałem też często udział w operatywkach kierownictwa odcinka robót przedsiębiorstwa „Zetbeem”.

W ogóle, mimo swego nadzorczego stanowiska, byłem lubiany i szanowany przez całą załogę budowlaną. Zapraszany byłem i brałem udział w różnych małych, okazjonalnych imprezach, jak obchodzenie imienin, świąt, ustawienie wiechy na budynku itp. Odbływały się one po fajrancie w pakamerach i miały zawsze podobny przebieg. Rozmawiało się, siedząc na ławach i zydełkach wokół stolika, na którym, na tackach, leżały pęta kiełbasy, pajdy pokrajanego chleba, jakieś kołaczki oraz stały musztardówki na gorącą herbatę i wódkę.

Jadło się dużo, piło również nie mało, przy czym musztardówki z alkoholem krążyły często z rąk do rąk z życzeniami zdrowia, lub innym dobrym słowem. Ja nie pozwalałem sobie na nalewanie pełnego szkła, bywało, że nawet nieobyczajnie odmawiałem spełnienia kolejnego toastu, nigdy nie spotykając się z jakimś nachalnym namawianiem i przymuszaniem do wypitki. Wszyscy wiedzieli, że „pan inżynier” nie pozwala się upić.

Współpracowałem również ściśle z przyszłym użytkownikiem strażnicy pożarnej komendantem kpt. K. Frycem. Interesował się on przebiegiem robót, bywał często na budowie i zgłaszał mi swe szczegółowe uwagi, które, w miarę możliwości, wprowadzałem do realizacji. Kpt. Fryc później, już w stopniu majora, długo był komendantem Dzielnicowej Straży Pożarnej, by następnie, jako pułkownik, przejąć szefostwo Głównej Komendy Straży Pożarnej w Krakowie przy ul. Westerplatte.

Z początkiem października zawezwany zostałem rano do naczelnego dyrektora. Po drodze zastanawiałem się, co takiego zmajstrowałem, że dyrektor Zrałek wzywa mnie na „dywanik”. Gdy już usiadłem naprzeciw jego biurka zaczął mnie po prostu wypytywać, jak mi się pracuje, czy jestem ze swej pracy zadowolony itp. Był to oczywiście tylko wstęp.

Gdy dłuższa pogawędka miała się ku końcowi, wyjął mi, że przez całe pół roku, jakie minęły od tamtej przykłej rozmowy poświętej, obserwował i śledził moje zachowanie się. Przyznał, że swą pracą wykazałem, że to ja wtedy miałem rację, zaś on się pomylił i niesłusznie mnie ocenił. W związku z tym zdecydował o mym awansie ze stanowiska młodszego inspektora od razu na stanowisko starszego inspektora nadzoru oraz o zamiarze mianowania inspektorem zespołowym budowy Centrum Nowej Huty, jakie w następnym roku wchodziło w fazę realizacji.

Zostałem przeszerogowany skokowo do I grupy płac z podwojonym dodatkiem funkcyjnym i zwiększonym współczynnikiem premiovym z 0,9 na 1,0. Grupa I przysługiwała kierownikom działów i w inspektoracie nadzoru na około 30 zatrudnionych tylko główny inspektor kierujący działem miał tę grupę zaszerogowania.

W ten sposób moje zarobki z ok. 1000 zł wzrosły od razu do ponad 1500 złotych (zależnie od wysokości premii). Zarabiałem więc na ówczesne warunki stosunkowo dużo, co najmniej dwukrotnie więcej niż wynosiła średnia krajowa. A byłem przecież sam i nie miałem specjalnych wydatków.

Późną jesienią 1952 r., można powiedzieć, że po letnim sezonie budowlanym, byłem uczestnikiem dwóch kursów szkoleniowych, zorganizowanych przez Dyрекcję dla swych inspektorów nadzoru. Jeden obejmował projektowanie i realizację instalacji domowych: sanitarnych, grzewczych i elektrycznych. Drugi dotyczył walki z grzybem budowlanym. Wykłady prowadzili specjaliści z Naczelnej Organizacji Technicznej w Krakowie. Kursy objęły łącznie 114 godzin wykładów, jakie trwały dwa miesiące i odbywały się w większości w godzinach pracy.

Na dodatkową naukę poświęciłem wiele wieczorów, zwłaszcza, że zawsze miałem ambicję uzyskania jak najlepszej oceny, zaś kursy kończyły się egzaminami przed odpowiednią komisją. Takie praktyczne kursy dawały dobrą szansę pogłębienia zdobytych na studiach teoretycznych wiadomości.

W Nowej Hucie przeprowadzono wtedy na większą skalę próbę osadnictwa ludności cygańskiej. Mianowicie na os. A-1 przekazano kilkudziesięciu rodzinom cygańskim mieszkania w nowych blokach, zaś mężczyzn zatrudniono na budowach. Aklimatyzacja ludzi, wędrujących dotąd taborami, do osiadłego trybu życia, nie była jednak łatwą sprawą. Po prostu część z nich nie akceptowała nowych, odmiennych od dotychczasowych warunków bytowania.

Niektóre z ich mieszkań przez wiele lat nie były w ogóle meblowane, zaś mieszkańcy spali pokotem na podłogach. Zdarzały się też przypadki, że Cyganie zrywali dębowe parkiety z posadzek i palili je na ogniskach na środku największych izb.

Obie moje budowy na osiedlu C-3 realizowane były bardzo szybko. Były dnie i tygodnie, że kierownictwo uzyskiwało poważne wsparcie ze strony Powszechnej Organizacji „Służba Polsce”, która grupowała młodzieżowe hufce pracy pod patronatem ZMP. Na terenie fabryki tytoniowej w Czyżynach w dwóch wielokondygnacyjnych 200-metrowej długości, niewykończonych blokach fabrycznych kwaterowało kilka tysięcy junaków z brygad SP.

Byli oni zorganizowani na modłę wojskową, część przyuczona do różnych zawodów budowlanych i w Nowej Hucie zatrudniano ich głównie na budowie kombinatu. Nazywało się ich „stonką”, ze względu na zielony kolor mundurów i występowanie w dużych grupach. Faktycznie w trakcie robót ziemnych i fundamentowych biurowca na C-3 cały plac budowy mienił się na zielono. Pracowali na ogół bardzo wydajnie i trudno było nadażyć z przygotowaniem dla nich frontów robót. Później wielu z nich zostało już na stałe na budowach miasta i kombinatu nowohuckiego.

Jedno zdarzenie w trakcie budowy strażnicy pamiętam szczególnie. Otóż źle został wykonany dolny bieg piwniczny jednej klatki schodowej. Po rozszalowaniu żelbetowych schodów okazało się, że tym dolnym biegiem nie może przejść nawet człowiek średniego wzrostu.

Decyzja o tym, co należy zrobić, należała do mnie, a ja nie mogłem nic rozsądnego wymyślić. Budowa weszła w fazę końcową, na schodach wykonano już lastryko oraz zamocowano balustrady i zbliżał się szybko termin przekazania obiektu do użytku. Zostało tylko dwa dni do komisyjnego odbioru strażnicy, gdy wpisałem wreszcie do dziennika budowy jedyne możliwe polecenie wyburzenia wadliwego biegu i wykonania nowego. Dołączyłem też stosowne rysunki.

I oto w ciągu jednej doby Mietek rozkuł cały bieg żelbetowy, wykonano odpowiednie podmurówki ceglane, zapelniono je gruzem, zabetonowano nowe stopnie, przerbiono stalowe balustrady, położono lastryko, wykonano reperacje tynków. Następnie, po odczekaniu kilkunastu godzin, wyszlifowano lastryko i pomalowano fragmenty ścian. Wszystko było gotowe, gdy na drugim końcu budynku komisja odbioru rozpoczynała swe prace. Zaś potem, już w trakcie podejmowania przez kpt. Fryca załogi budowlanej „lampką alkoholu” - uzgodniłem z kierownikiem Hayto sposób rozliczenia tych ostatecznie bardzo małych kosztów przeróbki biegu schodowego. Może gdzie indziej byłoby dochodzenie: kto zawinił, kogo obciążyć kosztami itp., ale nam były obce takie metody.

Drugie pamiętne zdarzenie dotyczy budowy sąsiedniego biurowca. W trakcie kończenia fundamentów budynku rozpadły się kilkudniowe deszcze i na odcinku kilkunastu metrów obsunęła się stroma skarpa ziemi od strony ulicy. Nad 4-metrowym wykopem zawisa ciężka, wielootworowa kanalizacja teletechniczna.

Ściągnięto mię w nocy z mieszkania. Na budowie byli już kpt. Fryc z oddziałem strażaków i samochodami pożarniczymi oraz kierownik Hayto, kompletujący brygadę cieśli i kopaczy z narzędziami. Poinformowano mnie, że kanalizacja prowadzi tajne kable wojskowe, łączące Moskwę z Berlinem i Wiedniem. Nie było jej dlatego na podkładach geodezyjnych. Stąd projektanci nie przewidzieli odpowiednich zabezpieczeń, czy odsunięcia projektowanego budynku.

Staliśmy w trójkę w pelerynach nad wykopem, a co chwila strażacy lub cieśle podchodzili do nas po dyspozycje co mają robić. W jakiś sposób strażacy odszukali najbliższe studzienki kanalizacji teletechnicznej i wypompowali z nich wodę, gdyż napływała ona przewodami i przeciekała w rejonie wykopu. Zabezpieczyli też teren nad kanalizacją przed przesiąkaniem wody deszczowej do gruntu.

Zaś cieśle pracowali w wykopach, zabezpieczając 4-metrową skarpe od dalszego obsuwania się i wykonując konstrukcję wsporczą pod betonowe rury kanalizacji teletechnicznej. Rury te wsparto na długości kilkunastu metrów wieloma ukośnymi zastrzałami z solidnych drewnianych okrągłaków. Wszystkie te prace wykonywane były w świetle reflektorów, prawie bez słów, lecz tylko przy stukocie siekier, młotów i łopat. I w nieustannie siąpiącym deszczu.

Później bardzo szybko wykonana została od strony kabli piwniczna, żelbetowa ściana oporowa budynku. Po jej izolowaniu, przestrzeń do skarpy zasypano żwirem i piaskiem, ubijanym warstwowo. Zastrzały wspierające wycinano sukcesywnie w miarę zasypów i łatano otwory w betonowej ścianie po usuniętych belkach wsporczych.

Na początku 1953 r. przenieśliśmy się do nowego mieszkania przy Al. Lenina 15/51 na osiedlu A-Zachód. To, że będę tam mieszkać, wiedziałem, zanim budynek zaczęto budować, dlatego w trakcie budowy doglądałem jakości wykończenia swego przyszłego mieszkania.

otrzymałem przydział „kawalerki”, obejmującej 1 pokój mieszkalny z przedścionkiem

o łącznej powierzchni 19 m². W przedsiönku była umywalka i mała wnęka z dwupłomienną kuchenką gazową. Łazienka i WC, wspólne dla czterech takich garsonier, znajdowały się obok przy korytarzu. Mieszkanie było oczywiście wykończzone, z parkietem w jodełkę, ściany malowane w jasnym beżowym kolorze.

W tym samym dniu, gdy przejąłem swą kawalerkę, pojechałem tramwajem do Krakowa i kupiłem w sklepie meblowym jasny, kombinowany komplet mebli, obejmujący tapczan, okrągły stół rozsuwany, 6 krzeseł wyściełanych, szafę, bibliotekę oraz wolno stojący kwietnik. Wróciłem na platformie konnej, która przewiozła meble i ludzi do ich przeniesienia i ustawienia.

W kilku kolejnych dniach zakupiłem karnisz, firanki do okna, dywan na podłogę, duży kilim na ścianę nad tapczanem i kwiaty doniczkowe do kwietnika. Wykonałem też rysunki szafek wbudowanych nad i pod kuchenkę gazową. Zakład stolarski na osiedlu A-3 wykonał mi te szafki w ciągu tygodnia. Po ich zamontowaniu i zakupie lustra nad umywalkę oraz po zawieszeniu zasłanki, wydzielającej z przedpokoju „mokrą” wnękę z umywalką i kuchenką - miałem zupełnie przyzwoite, wygodne i gustownie urządzone mieszkanie. Zwłaszcza, że ściany ozdobiłem swymi obrazami.



Kawalerka po umeblovaniu

Brakowało mi tylko biurka do pracy. Niestety, za żadne skarby nie mogłem tego mebla w Krakowie kupić. Udało mi się to dopiero po wielu miesiącach. Na tym biurku stał potem nowoczesny, fornirowany radio-adapter, lampa z abażurem oraz mała deska rysunkowa.

Tryb mego życia przez cały okres pracy w Nowej Hucie był podporządkowany i zdominowany przez pracę zawodową. Wstawałem wcześniej rano w okolicach szóstej godziny i przygotowywałem i spożywałem śniadanie zawsze przed pójściem do pracy. Raczej były to śniadania obfite i bazujące, niestety, najczęściej na jajecznicy, kiełbasie i tłustych serach.

Za to w czasie pracy, albo w ogóle nic nie jadłem, albo spożywałem śpiesznie kanapki, jakie rano sobie przygotowałem. Dopiero później, bywało, że wyskakiwałem koło południa do sąsiedniego baru mlecznego na szybkie barowe lub mleczne danie. Obiad, a właściwie obiado-kolację konsumowałem późno, już po godzinach pracy, w jakiejś restauracji krakowskiej, gdy mieszkalem na Grzegórkach, zaś później również w Nowej Hucie. Upodobałem sobie szczególnie restaurację przy ul. Szewskiej 14, choć na szczęście korzystałem z niej rzadko. Specjalizowała się ona bowiem w serwowaniu golonek wieprzowych. Zamawiało się golonki małe, średnie lub duże, z ziemniakami względnie chlebem, z dodatkiem kapusty, chrzanu, kiszonych ogórków, grochu, ćwikły albo musztardy.

W ogóle to prowadziłem nieregularny, niezdrowy tryb życia. Raz, wracając już wieczorem, po pracy do domu, na moje osiedle A-Zachód, zatrzymałem się przy kiosku piwnym na Placu Centralnym. Byłem bez obiadu, więc głodny, a także po prostu zmęczony. Zatrzymałem się przy kiosku tylko dlatego, że byli tam i popijali piwko dwaj brygadziści z mojej budowy. Zagadali, mieliśmy jakieś swoje budowlane sprawy, więc przystanąłem przy nich, również zamawiając kufelek piwa.

Były wówczas w Krakowie specjalne, okrągłe kioski z piwem. Miały wokół zewnętrzny parapet, na którym stawiało się kufle i można się było wesprzeć. Tak więc piło się, stojąc wygodnie wokół kiosku. Piwo było prosto z beczki, nalewane pod ciśnieniem

kwasu węglowego przy pomocy specjalnego syfonu, uruchamianego przez kioskarza. Można było zamówić piwo jasne w kilku gatunkach lub ciemne nieco łagodniejsze.

Nie wiem, jak długo rozmawiałem i ile piw wypilem, w każdym bądź razie upilem się po raz drugi w życiu. Pierwszy raz na weselu swojej siostry, a jeszcze wiele lat później, po raz trzeci na swym własnym weselu. Jak pamiętam, w stanie nietrzeźwym zachowywałem się bardzo spokojnie. Wówczas, wracając do mieszkania, miałem do pokonania jeszcze ze 300 metrów prostej drogi. Szedłem nowym, wąskim chodnikiem z płyt betonowych, równiutko wzdłuż lewej krawędzi chodnika i bałem się zderzenia, gdyby ktoś szedł z naprzeciwka, bo ja nie byłbym w stanie dokonać manewru wymijającego. W domu, w ubraniu, uwaliłem się na tapczan i przespałem tak do rana.

Na budowach najbardziej spotykanym ubiorem roboczym były szare, ciepłe, watawane kufajki i gumowe buty, ubierane na spodnie. Ja swą przydziałową kufajkę ubierałem bardzo rzadko w wyjątkowo zimne i słotne dni. Ale buty gumowe nosiłem często, zwykle zawinięte od góry do połowy. Ubieranie gumiaków było koniecznością, jeśli tylko padał deszcz i było mokro. Mianowicie na terenie całej Nowej Huty występują grunty lessowe o miąższości nawet do kilku metrów. Przypominają glinę, zarówno jasnożółtym kolorem, jak i pylastą budową.

W czasie opadów grunt ten chłonał wilgoć i nabierał konsystencji gęstego ciasta. Normalnie w obuwii niepodobna było w ogóle po tej lepiącej się mazi chodzić. Na początku pobytu w NH próbowałem chodzić w kaloszach, ale po prostu grzęzły całe w błotku i trudno je było potem wyciągnąć.

Natomiast gdy było sucho i wietrznie, to nad placami budów unosiły się chmury żółtego kurzu lessowego. Z tego powodu nabawiłem się wkrótce chronicznego zapalenia spojówek, jakie przez kilka lat mnie prześladowało. Od tego też czasu zawsze w pogodne dni noszę ciemne okulary.

Ponieważ prowadziłem żywot kawalerski, więc sam musiałem dbać o swą garsonierę i swą garderobę. Porządek w mieszkaniu utrzymywałem na prostej zasadzie, że każda rzecz miała swoje stałe miejsce. W związku z tym utrzymanie czystości sprowadzało się głównie do odkurzania mebli i dywanu. Kupiłem w tym celu mały odkurzacz.

Bieliznę pościelową i osobistą oddawałem do prania w niedalekiej pralni osiedlowej. Miałem też żelazko elektryczne, ale spodnie najczęściej prasowałem w prosty sposób, podkładając je na noc, po złożeniu kantów, pod prześcieradło na tapczanie.

Zawsze sporo czytałem. Na bieżąco prasę codzienną oraz tygodniki „Przekrój” i „Świat”, zaś w miarę wolnego czasu książki, przy czym wówczas gustowałem w kryminałach. Lubilem też rozwiązywać krzyżówki w czasopismach i nawet otrzymałem kilka książkowych nagród. Najwyraźniej nie było wtedy zbyt wielu krzyżówkowych amatorów.

Raczej nie korzystałem z wypożyczalni bibliotecznych, lecz interesujące mnie książki kupowałem w księgarniach lub na kiermaszach książek. Były one podówczas drukowane zwykle na marnym papierze, za to wydawane często w wielusettyśięcznych nakładach i w związku z tym względnie bardzo tanie.

W wydawnictwie tanich książek specjalizowała się zwłaszcza oficyna wydawnicza „Książka i Wiedza”. Realizując propagowaną oficjalnie ideę książki za „grosik”, drukowała ona dziesiątki klasycznych dzieł literatury polskiej i światowej. Na gazetowym papierze, ale w standardowych nakładach po 50 lub 100 tysięcy egzemplarzy i w cenie po 50 groszy za książkę.

Do teatru czy kina jeździłem chętnie, lecz raczej rzadko, gdyż trzeba było jechać do Krakowa, co było całą wyprawą. Od 1953 r. jeździło się już wprawdzie nową linią tramwajową, ale czas przejazdu do centrum Krakowa przekraczał znacznie pół godziny. Poważnym problemem były powroty do Nowej Huty nocną porą. W początkowym okre-

sie funkcjonowania tramwaju nie było kursów nocnych, a i później często nocami wykonywano wszelkie uzupełniające roboty i przeróbki. Zdarzyło mi się dwukrotnie, że przemierzylem nocą 6,5 kilometrową, nieoświetloną drogę z dworca kolejowego w Krakowie do mego mieszkania na os. A-Zachód na piechotę.

W czasie kilku pierwszych miesięcy funkcjonowania linii tramwajowej do Nowej



Pierwsza linia tramwajowa do Nowej Huty

Huty uzyskała ona niechlubną nazwę „trasy śmierci”. Mianowicie wzdłuż południowego torowiska, na odcinku ul. Wieczystej, pozostawiono szpaler pięknych, wieloletnich drzew, bodaj kasztanów, które rosły wzdłuż dotychczasowej drogi gruntowej. Ale wozy tramwajowe nie miały wówczas drzwi zamykanych automatycznie, to też, w czasie zapełnienia, obwieszane były gronami pasażerów, jadących na stopniach. Było to przyczyną wielu wypadków, w tym kilku śmiertelnych. W konsekwencji drzewa-zawalidrogi zostały wycięte i wykarczowane.



Inspektorzy nadzoru w czynie społecznym

W latach powojennych przyjął się powszechny zwyczaj realizacji dorywczych prac i czynów społecznych. Organizowane one były w skali całego kraju, obejmując wszystkie zakłady pracy, szkoły, placówki służby zdrowia itd. Odbýwały się zwykle w dni wolne od pracy, zaś najczęściej w niedziele, poprzedzające Święto Pracy 1-Maja i Święto Odrodzenia 22 Lipca. Jako student w ramach takich czynów społecznych dwukrotnie brałem udział w odgruzowywaniu Śródmieścia we Wrocławiu. W okresie zatrudnienia w DBMNH pracowałem przy porządkowaniu i zagospodarowaniu terenów wokół oddawanych do użytku bloków i osiedli mieszkaniowych. Były to więc roboty niwelacyjne, usuwanie gruzu, rozwożenie humusu, wykonywanie koryta i podłoża piaskowego pod chodniki itp. Zwykle wykonywałem czyny społeczne w grupie inspektorów nadzoru, niekiedy dołączaliśmy do pracowników Dyrekcji „Zetbeem”.

Moje przedsiębiorstwo brało też masowy udział w 1-majowych pochodach. Odbýwały się one w Krakowie, trybuna honorowa znajdowała się przy ulicy Basztowej, obok obecnego biura LOT-u. Zakłady pracy i mieszkańcy dzielnicy Nowej Huty zbierali się zwykle w rejonie Ronda Mogińskiego, zaś przemarsz kolumn tej dzielnicy albo inaugurował, albo kończył pochód. Niekiedy w miejscu zbiórki trzeba było długo czekać na wymarsz swej firmy. Był więc czas na rozmowy w mniejszych grupkach, na omawianie spraw zawodowych i prywatnych.

Odrębność Nowej Huty utrzymywana była oficjalnie i zwyczajowo nawet po anulowaniu jej statusu miejskiego i przyłączenia jako kolejnej dzielnicy do Krakowa, co nastąpiło formalnie bodaj już w 1951 r., gdy dokonano podziału administracyjnego obszaru miasta na sześć dużych dzielnic. Mimo to wówczas nikt z mieszkańców, lub pracowników NH nie mówił, że mieszka, czy pracuje w Krakowie, lecz w Nowej Hucie i to bez wspomnienia o dzielnicy. I tak już właściwie pozostało do dnia dzisiejszego, mimo że zatarty się granice obu aglomeracji i gdy cały Kraków liczy dziś 750 tys., w tym dzielnica Nowa Huta 250 tysięcy mieszkańców.